

Boznańska. Malowanie wnętrza [TPCT 472]

Czym jest malarstwo Boznańskiej: czy próbą ocalenia tego, co ulotne, ledwie uchwytnie, a jednak fundamentalnie ludzkie? Czy jej sztuka, tak odległa od formalnych manifestów, nie jest rodzajem prywatnej metafizyki, rozmową o obecności, trwaniu, przemijaniu? A może jej obrazy są jak niedopowiedziane modlitwy szeptane ze środka epoki końca wieku?

Nie ma w polskim malarstwie drugiej tak cichej, a jednocześnie tak niepokojąco donośnej postaci w polskim malarstwie. Jej sztuka, wymykająca się w pewnym stopniu klasyfikacjom, zdaje się przebywać poza kategoriami stylu, konkretnej szkoły, ledwie zbierając idee epoki – jakby istniała w osobnej przestrzeni historii sztuki, w jakimś zakątku, do którego prowadzi zaledwie jedno skrzypiące przejście, z dala od tłumów i salonów. Być może to miejsce pełne ciszy, zapachu terpentyny i światła, które przecieka przez wysokie, paryskie okna. Miejsce, które Olga Boznańska urządziła z pewnym pietyzmem anachoretki, a zarazem badaczki świata emocji i ulotności, niekiedy rysujących się na twarzach jej współczesnych. Co wynika z tego spojrzenia na świat rozpostarty na jej płótnach?

W pewnym sensie w malarstwie Boznańskiej to, co zewnętrzne, pozorne – zostaje odrzucone, jakby gestem Platona, który niechybnie zżyma się na powierzchowność *δόξης*. Żaden z jej portretów nie kusi przesadną kokieterią, nie epatuje przesadnie barwami. I tu paradoks:

żadne z tych płócien nie zdaje się być malowane z intencją uczynienia go pamiątką, a raczej wydarzeniem – spotkaniem z czyjąś obecnością, zawieszoną pomiędzy jeszcze-twarzą a już-nastrojem. Portret, który przestaje pełnić swą funkcję zaraz po odłożeniu pędzla. Z tej perspektywy jej sztuka mogłaby się jawić jako w istocie rozpaczliwa próba uchwycenia duszy, zamkniętej w ciele, które nie zawsze jest gotowe ją wyrazić. Ale porzućmy te terytoria, które bardziej przynależą do platońskiej tradycji i spróbujmy dostrzec, w jaki sposób Boznańska stara się mówić poprzez swoje obrazy.

Od czasu monachijskich lat Boznańska konsekwentnie kroczyła drogą osobności. Można powiedzieć, że gdy inni chłonęli impresjonizm, ona raczej przepuszczała go przez filtr własnej wrażliwości. Owszem, były tam obecne wibracje koloru, rozpuszczone kontury, pulsujące światło – ale raczej nie dla samej sztuki czy portretowania dla samego portretowania. Malowała ludzi, którzy zdają się niekiedy cokolwiek nieobecni. Jak duchy – nie tyle sportretowani, co wyśnieni, przywołani z wnętrza, które zna tylko ona. Przestrzeń w jej obrazach nie była tłem albo może raczej: zasłoną. Delikatną, półprzejrystą, przez którą wydobywała się rzeczywistość, która nie zawsze odnosiła się do tego, co podpowiadałby okrutnie precyzyjny kadr aparatu.

Być może twórczość Boznańskiej to opowieść nie tylko o wnętrzu postaci, którą chwytiała w płótna, ale także o samej malarce? A zatem jej portrety to nie lustra, lecz echo, refleksja a może pogłos. Tak jakbyśmy słyszeli odbicie tonu, który nie do końca możemy zidentyfikować, przejmującego, ale nieuchwytnego. W pewnym sensie to portretowanie tchnienia *fin de siècle* – owej aury, która jawiła się nawet jej współczesnym niemal jak choroba duszy, która niczym zapach absyntu przesącza się przez salony, atelier, kawiarnie, ale i

przez samotne pokoje pensjonatów, w których młode artystki – jak Boznańska – próbowały nadać sens swoim istnieniom. Ludzie jej czasu nie ufali już postępowi, choć żyli jego cudami. Miasta rosły, wielki mechanizm świata zdawał się wchodzić w nowy cykl, ale gdzieś można było zarazem odczuć, że zbiorowa dusza wspólnoty pozostawała zmęczona. Wielka Wojna jeszcze się nie zaczęła, ale już się śniła. Dźwięki Wagnera, strofy Verlaine’a, obrazy Redona czy Whistlera – wszystko to były próby nadania sensu coraz to bardziej magmowej rzeczywistości. I właśnie w tej atmosferze – nastroju, który był bardziej realny niż sam fakt – rodziły się portrety Boznańskiej.

I to nie przypadek, że pracownia Boznańskiej, ten ascetyczny mikroświat, była nie tylko jej miejscem pracy, ale też portretem samym w sobie. Malowała ją jakby przez ramię, mimochodem, jakby nie chciała ingerować w rytuał własnego codziennego bycia. Te obrazy to zapisy obecności – szczątkowej, znikającej – ale też głębokiego namysłu nad samą formą. Czasem nie wiadomo, co jest wnętrzem: przestrzeń, którą przedstawia czy jej własne emocjonalne uniwersum. W oknach jej obrazów nie ma pejzażu – jest światło. „Portrety, w których wszystko, co zbędne, zostało wyeliminowane, w których panuje pełna skupienia, śmiertelna cisza albo w których brzmi jeden ostry ton, jakaś nuta wysoka i czysta, jakiś przejmujący zgrzyt, i w których przestrzeń – u symbolistów tak powietrzna i rozległa – spłaszcza się, zacieśnia wokół modelu, wprowadzając do obrazu pierwszy motyw abstrakcji, zapowiadając już tutaj malarstwo pozbawione odniesień do przedmiotowego świata” – jak pisał o jej twórczości Wiesław Juszcak.

Nie sposób jej zasufladkować. Nie dlatego, że była ponad stylami, ale dlatego, że jej styl był jednym, długim pytaniem. Pytaniem o wnętrze – nie mieszkania, ale duszy. O to, co zostaje z człowieka, kiedy usuniemy

z niego wszystko, co zewnętrzne. Styl malarski Boznańskiej zdaje się przełamywać granice czystej materii – nie zatrzymuje się na powierzchni, lecz przenika ją, by intensywniej odsłonić wewnętrzne napięcia, stany psychiczne i ukryty rytm duszy samej artystki. W polskim odczytaniu nurtów zachodnich impresjonizm – jak zauważa Juszcak – zyskuje wymiar znacznie głębszy: spleciony zostaje z ekspresjonistyczną wrażliwością, w której kolor i forma stają się językiem emocji, a nie tylko zapisem zmysłowego doznania.

Czym zatem jest malarstwo Boznańskiej: czy próbą ocalenia tego, co ulotne, ledwie uchwytnie, a jednak fundamentalnie ludzkie? Czy jej sztuka, tak odległa od formalnych manifestów, nie jest rodzajem prywatnej metafizyki, rozmową o obecności, trwaniu, przemijaniu? A może jej obrazy są jak niedopowiedziane modlitwy szeptane ze środka epoki końca wieku? Z pewnością Boznańska nie udziela prostych odpowiedzi. Ale może właśnie dlatego, że tak wiele pozostawia w zawieszeniu, jej malarstwo wciąż nas porusza – pomaga spojrzeć na świat sprzed Wielkiej Wojny, czas przesilenia i przełomu, w którym obecność zdawała się tak nierzeczywista?

Jan Czerniecki

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
